

POWIEŚĆ: NOWELA

ROK XXII

WARSZAWA, DNIA 11 PAŹDZIERNIKA 1930 ROKU

NR. 41

ANDRZEJ STRUG

34)

ŻÓŁTY KRZYŻ

Greta von Senden ocknęła się ze snu i długo leżała w odrętwieniu, niepewna, gdzie się znajduje. Roje przyćmionych myśli przesłaniały się nawzajem, prześcigały się, pomieszane w przestrzeni i w czasie. Wszystko równocześnie było i nie było. To, co jest teraz, stawało się przelotnym wyobrażeniem o dalekiej przyszłości. Teraz? Teraźniejszość — ten dzień i godzina były nieobecne. Ciemny pokój, czerwony odbłask od drzwiczek pieca i huczący ogień — to dom rodziców w Dreźnie. Za chwilę będzie musiała wstać i śpieszyć do szkoły... Uśmiechnęła się do niej gwarna klasa, pełna koleżaneczek i doroczny bal szkolny, który wypada za trzy dni. Biała sukienka z falbankami, z niebieskimi wstążeczkami wisi gotowa w szafie. Mama obiecała, że dziś nieodwołalnie kupione będą lakierowane pantofelki, takich nie miała jeszcze nigdy w życiu — co za radość... A na balu napewno będzie prześliczny kadet niewiadomego nazwiska, który na ulicy za każdym spotkaniem obrzuca ją czarodziejskim spojrzeniem... I kadet już tańczy z nią walca, wszyscy patrzą na najpiękniejszą parę. Kadet przyciska ją mocniej, wytańcowuje ją z sali do jadalni, krążą dokoła wspólnie zastawionego stołu, potem wpadają do pustego, słabo oświetlonego pokoju, a potem już tańczą w ciemnościach. Ziemia wymyka się z pod ich stóp, unoszą się w górę, wirują coraz szybciej i szybciej, kadet miażdży ją w uścisku i nagle żar i płomień ogarniają usta, płonie cała, wytryska z niej nieopięta, niezaznana, szalona radość... Co za wstyd... Co za szczęście...

Zasypia, ale coś ją ostrzega — nie śpij! Nasłuchuje — szmery w ciemnościach, mysz gryzie coś zapamiętałe pod podłogą, mucha piszczy żałośnie, dręczona przez pajaka. Mucha wysysana żywcem rozpaczliwie wibruje skrzydełkami, ciszej, mocniej, tony zmieniają się, dochodzą do najwyższego napięcia bólu, strachu... Greta nie może tego znieść, zrywa się i szuka pajaka. Nie może znaleźć kontaktu, nie może trafić do okna, błąka się w ciemnościach, potracając o mnóstwo nieznanomych sprzętów, albowiem jest w obcym domu. Mucha już ucichła. Obżarty pajak w ciemnościach rechoce szyderczym śmiechem. Jest to obrzydliwe i straszne. Teraz pajak jej szuka. Dygoce, z przerażenia nie może krzyczeć, ucieka, macając wokoło, naraz rękami natrafia na okropną, wielką głowę, łysą i lepłą. Obejmują ją potężne macki, wielokrotne twarde, włochate ramiona oplatają się dokoła jej ramion, bioder, nóg, zawisa na niej ciężar, obala ją, przytłacza do ziemi, obrzydła, żarłoczna gęba wpija się w nią i ssie. Wówczas stara-

jąc się naśladować muchę, zaczyna piszczeć przenikliwie, najciemniejszym, świdrującym głosem. Ohydnie mlaskając i sapiąc, pajak wyciska z niej życie, wypija krew do ostatniej kropli. Już nie słyszy własnego głosu. Umiera.

Budzi się. W piecu huczy, za oknem przechodzi oddział piechoty. Przez szczelinę kotary wciska się biały dzień. Za nic nie chce dnia. Nakrywa się z głową i z rozpaczą zasypia. Udaje, bo wie, że już nie zaśnie. Odpędza złe myśli, cóżby dała za to, żeby one były tylko złemi snami. Udaje, broni się. Takie myśli są wręcz niemożliwe, są głupie i warjackie, lepiej spać. Udaje, wymyśla sny. Idzie jej łatwo, wszystkie sny są gotowe, biegną jeden za drugim, jak na zamówienie, są okropne, tak jak powinny być prawdziwe sny. Jęczy i odpędza od siebie koszmary, napróżno. Obległy ją straszliwe zmary. Wrzeszczy nad nią gromada obcych mężczyzn, śpiewają każdy co innego, wszyscy pijani. Ubrani w morskie kurtki, niektórzy do pasa nadzy, kilku zupełnie nagich. Przerzucają ją z rąk do rąk obnażoną, pijaniusienką... Co chwila oblewa ją któryś winem z butelki. Raz po raz porywa ją któryś i najbezwstydniej, na oczach wszystkich, tak brutalnie... Krzyczy, broni się.

— Zlitujcie się, już nie mogę, za nic nie chcę... Ja doprawdy umieram...

Jest niemożliwie ciasno, wszyscy duszą się w żelaznej skrzyni bez żadnych sprzętów, prócz żelaznego stołu i na tym zimnym stole... O Boże ratuj. — Znowu... Śmieje się nad nią, ryczy, świeci zębami mnóstwo pijackich twarzy, znowu zlewają się na nią strugi czerwonego wina... Za innymi, jak zarażona, sama zaczyna się śmiać bolącym opętanym śmiechem.

...Zatulona w pled drzemie w wagonie. Ruch, głuchy łoskot kół kołysze ją do snu. Wypoczywa rozjątrzone, splugawione ciało, dusza oddala się od tego, co było tej nocy, już zapomina. Za pół godziny będzie wolna od gnębiącej zmary. Błogi sen przygarnia ją do siebie, koi, przebacza... Gdy otworzyła oczy, młody człowiek siedzący naprzeciwko w futerku z lisim kołnierzem odwrócił od niej spojrzenie. Ten sam. Widziała go w Kiel w kabarecie „Zielona Maski”, a potem w porcie wojennym, gdy już trochę pijana siadała do motorówki, żeby jechać do eskadry na resztę nocy... Znać, że chce do niej zagadać... Więc przymyka oczy i udaje, że zasypia... Ale on przemówił z cicha, spokojnie, niby do siebie. Zdrętwiała. Słucha... Ten człowiek wszystko o niej wie... Czyta jej dzieje, jak z książki, gdzie wszystko o niej zapisane. Książka jest francuska. Ale on fa-

talnie wymawia... Ach, i to jeszcze... Rzecz, o której nie wie nikt na świecie... Teraz grozi... Teraz wyznacza jej spotkanie... Nakazuje... Nie może dłużej — otwiera oczy. Młody człowiek czyta półgłosem książkę w żółtej okładce.

— Może pani przeszkadzam? Czytam głośno dla wprawy w języku. Będę już ciszej...

— Proszę bardzo! To mi nie przeszkadza.

— Dziękuję pani...

...Zabłądziła w nieznanym mieście, śpieszy na dworzec i nie może trafić — ucieka. Za wszelką cenę, za cenę życia musi ukryć gdzieś papiery, które ukradła. Czuje za sobą pogoń, wszyscy przechodnie patrzą na nią podejrzliwie. Byle dopaść... Gdzież ten dworzec? Dworzec ucieka przed nią, kryje się chytrze w labiryncie nieznanych ulic, odzywa się to tu, to tam, dalej, bliżej gwizdem parowozów, ludzi cierpkim czadem węglowym. Słyszy za sobą wołanie zdyszanych, biegnących ludzi — Złodziejka! — To ona! Ona! Łapaj! Trzymaj! Terkoce za nią, zacina się, strzela motocykl policyjny. Ach, dworzec... W tłoku oddziału bagażowego widzi zdaleka okropną głowę w kraciastej czapce sportowej, wysterczającą ponad wszystkie głowy. — Pan nie wie, o której odchodzi pociąg do Kolonji? — Za dziesięć minut, łaskawa pani! Długie, wstrętne palce chwytają zwitek — jaka ulga...

...Ubiera się pośpiesznie, wciąga pończochy, ręce jej drżą z odrazy. W głębokim fotelu klubowym sterczą jasnokościste cienkie kolana, rozwała się brzuch rozdęty, pajęczne pizczele rąk, splątane długimi palcami, rozparte śpiczastymi łokciami, fajka dymi w zębach. Maleńkie, wysadzone, czarne oczka, tępy nos, skąpe, sterczące szczeciny wąsów, płaska, łysa czaszka, obleśny uśmiech kanalji zbrodniczej.

— Jak pan chce, ale zapowiadam, że kraść dla pana nie będę. Co pan tylko chce — byle nie to.

— Będiesz robić wszystko, co każę. Musisz! Zrozumiane?

Wie o tem i wybucha płaczem. Kanalja w fotelu, olbrzymi, długi szkielet, włochata skóra i krzywe kości z ogromnym, wydętym brzuchem pośrodku, to jej władca i pan. Cóż za obłąkany sen...

Trudno już dłużej kłamać sny. Przez odmęt skołataną głowę, przez rozpaczliwy wysiłek zaprzeczenia, przez mrok panujący w pokoju, przez kołdrę, narzuconą na głowę, przebija się to, co jest — spokojna, niemiłosierna rzeczywistość. Co robić? Płakać? Kłąć ostatnimi słowami?

Krzyczeć wniebogłosy?

Zwarjować?

Odrzuciła kołdrę i wstała spokojnie. Rozsunęła zasłonę, podniosła roletę, blask słońca ciął ją jak brzytwą prosto w udręczone oczy. Gwałtownie odwróciła się od okna i znalazła się twarzą w twarz ze swoim odbiciem w wielkim lustrze. Odrząciło ją to nieznośną brutalną prawdą. Wszystko naraz odbiło się w lustrze, wszędzie żywe ślady, w oczach, w całej twarzy, na nogach. Była napiętnowana, cała okryta obrzydliwością. Uciekła...

W jadalni stół był nakryty do śniadania, poczuła głód. Na ścianie portret z czasów panińskich, na rok przed ślubem. Mądre, wesołe oczy i uśmiech witały nieznaną, nienapoczęte jeszcze życie. Promieniała pięknnością duszy. Wspaniałe sploty jasnych włosów, spięte po grecku, błękitna tunika, obok w rosenthalowskim złocym wazonie garść narcyzów. Tak było pięć lat temu... Była czysta, jak te narcyzy. Najbardziej pożałowała włosów, łzy stanęły jej

w oczach — poco, poco się tak oszpeciła... Uciekła od portretu, stanęła w oknie.

Z góry widać podwórze koszarowe, odgródzone od ulicy wysokim murem. Orkiestra ze sztandarem — bataljon marszowy odchodzi na front. Plutony siarczyście wytupują paradny krok w defiladzie przed generałem, grzmia trąby. Wszystko dobrze, ale pod murem przeciąga kompanja — same dzieci, nikli chłopcy, mizeractwo zabiedzone... I ci także?... Z drzwi koszar wypelza na podwórze gromada jakichś pokracznych, podstarzałych niedojdów. To mają być żołnierze? Ustawiają się niedołącznie w dwurząd, na każdej twarzy wypisane nieszczęście.

Ochoczo grzmia trąby, bataljon marszowy ryczy — Hoch! Hoch! Hoch! Przed zamkniętą bramą tłum kobiet, zajęły całą ulicę, wynędzniałe, zapłakane, stoją w milczeniu, zbierając siły na chwilę, gdy przez rozwartą bramę z orkiestrą na czele wystąpią bohaterskie czwórki ich mężów, ojców, żywicieli w uroczystym marszu przez miasto na dworzec, a stamtąd...

Pani Greta nie mogła na to patrzeć. Odeszła od okna, pokręciła się bezmyślnie po mieszkaniu, aż znów paniński portret zastąpił jej drogę. Wówczas pobiegła do biureczka w sypialni, wysunęła znajomą szufladkę, choć dobrze wiedziała, że nic tam nie znajdzie. Zaczęła szukać w podróżnej walizce, wyrzucając wszystko na podłogę, śpieszyła się, jak opętana, z rozpaczliwą samowiedzą, że czyni to napróżno. Pobiegła do dawnego gabinetu męża, tam w szafie bibliotecznej za książkami miała swoją skrytkę. Może stanie się cud? Może tam...

I w ostatniej niedoli padła w fotel przed biurkiem. Porucznik von Senden spojrzął na nią ze ścian. Wybuchła podłym śmiechem załganym i usiłowała sztychować. Mówiła do portretu przez łzy: — Wszystko diabli wzięli, a on tu został... Senden, żyjesz, czy ziemię gryziesz? Co robisz? Czy ty już też jesteś łajdakiem?

Dzwonek. Z przedpokoju głos znajomy. Zerwała się, pobiegła.

— Masz?! Masz?!

— Greta, jak ty wyglądasz? Uspokuj się.

— Nie mogę... Dawaj zaraz... Najdroższa!

Pani Hipper, pięćdziesięcioletnia, ongiś i teraz jeszcze piękna pani, przytuliła ją do siebie i wpiła się w jej usta. Greta poddawała się jej, dygocąc z niecierpliwości, wreszcie oderwała się i chwyciwszy jej torebkę z jaszczurczej skóry, pobiegła do sypialni. Pani Hipper zasiadła przy stole i kazała podawać śniadanie.

— Klarchen, co słychać?

— Pani przyjechała o jedenastej, okropnie zmęczona drogą. Nic jej nie mówiłam o panu Hansie. Nie wiem, czym dobrze zrobiła?

— To nic, mały jest coraz lepiej. Właśnie stamtąd wracam. A nikogo tu nie było przez ten czas?

— Dowiadywał się tu jakiś stary pan, taki szykowiec, nie mogłam się go pozbyć. Przystawiał się do mnie na całego, wreszcie poszedł, wetknął mi w łapę dziesięć marek.

— O co pytał?

— Niby o nic specjalnie, ale gadał jak młyn, chciał obejrzeć mieszkanie wedle ogłoszenia. Oprowadziłam go.

— Nie trzeba było, Klarchen. Czy był i w gabinecie?

— Wszystko mu pokazałam.

(D. c. n.).

Tymczasem cesarz ciągnął:

— Jesteśmy przedstawicielami stuletniego domu, mój mały. Koła opozycji, w których przebywasz... nie, nie biorę ci tego za złe — dorzucił pośpiesznie — masz do tego prawo i powody, jako następca tronu... otóż w kołach opozycji sądzą moją politykę bez pobłażania. Ludzie, którzy nie stoją u steru władzy, myślą tylko o terażniejszości. Ja, będący ogniwem w łańcuchu ludzi przykutych do tego samego łańcucha, zmuszony jestem myśleć o pokoleniach, które nadejdą, gdy my znikniemy. Moje narody nie rozumieją zawsze, czem są powodowane moje czyny, lecz uzyskałem ich zaufanie, gdyż czują, że cesarz ich i król pracuje dla nich bezinteresownie... Gdybyśmy, synu mój, porzucili naszą placówkę, gdyby znikła dynastia, te ludy dziś złączone rozpadłyby się i zwalczały wzajemnie. Na miejscu bogatego, wspaniałego cesarstwa, nad stworzeniem którego pracowali twoi przodkowie, pozostałby proch i pył. Państwa słabe, niepewne, zagrożone w swych granicach, drżące na myśl o jutrze... Wiesz dobrze, mój Rudolfie, że byłoby niemożliwością dać odpowiedź na moje słowa.

W innych warunkach Rudolf byłby szczęśliwy, że może podjąć po raz pierwszy dyskusję polityczną ze swoim ojcem! Dzisiaj już było zapóźno. Nie szło o czterdzieści milionów ludzi i o cesarstwo, lecz o Marję i o niego. Jego niepewność wzrastała. Stał do walki z zręcznym przeciwnikiem, który wybierał umiejętnie teren. Będzie pobity, nie ulegało to żadnym wątpliwościom. Lepiej było zerwać, uciec... A jednak, przez słabość, oddalił chwilę rozstania, i rzucił się w wir dyskusji.

— A może, praca dla siebie jest wielką naiwnością? Narody nie są nigdy zadowolone, skarżą się zawsze i są niewdzięczne. Co się stanie? Może przyjść nawałnica od północy. Czy nasza dynastia jest stworzona, by przetrwać wszystko?

— Nie wiem — odparł cesarz — i czasem mam wątpliwości. Być może, będę ostatnim cesarzem. Lecz obowiązek pozostaje ten sam. Żołnierz nie omawia rozkazu, ale wypełnia go. Niebawem, ty będziesz musiał przejąć obowiązki. Liczę na ciebie...

Rudolf odpowiedział głosem głuchym, tak jakby mówił do siebie.

— Najważniejszym jest, by rozkaz był wypełniony. Gdy zabraknie jednego żołnierza, zastąpi go drugi.

Na te słowa cesarz zadrżał.

Czy to jego syn, Habsburg, przemawiał temi słowy? Byli teraz, tak blisko siebie, oni ludzie tej samej krwi. A jednak, otwierała się przepaść między nimi. Trwał nieruchomo, z pustą głową, nie wiedząc, w którą stronę ruszyć się.

W tym momencie nastąpiło pewne drobne, acz nieoczekiwane zajście. Zabrzmiała na Franzens Platcu pobudka, oznaczająca zmianę warty. Od czterdziestu lat swojego panowania przywykł Franciszek Józef przyglądać się bataljonowi, który wkraczał o tej porze do zamku. Bez względu na to, czem był zajęty w danej chwili, przyjmował, czy przewodniczył naradzie, nigdy nie zapominał podejść do okna i na widok defilady pięknych żołnierzy, których przygo-

towywał dla obrony cesarstwa, jego żołnierskie serce radowało się.

Tego dnia, jak poprzednich, zerwał się na odgłos trąbki i podszedł do okna. Rudolf wstał machinalnie i również zbliżył się do okna. Radosne dźwięki muzyki wojskowej dotarły do nich nawet i zmieniły przykry nastrój, panujący w zimnym gabinecie, w coś niemal radosnego.

Teraz już stali przy sobie dwaj zawodowi wojskowi, zajęci widowiskiem, które podpadało pod ich kompetencję.

— Oddział strzelców tyrolskich — rzekł cesarz — co za postawa, jaka zwinność!

— Obywatele Meranu i Innsbrucku — dodał Rudolf — odporni na najcięższe przemarsze. Niestrudzeni! Nigdy się nie skarżą.

— Nowy sposób ćwiczenia rekruta dał znakomite rezultaty. Widzimy wielkie postępy. Spójrz, mają za sobą zaledwie sześć miesięcy koszar, a jakie wyniki!

Rozmawiali z sobą, jak ludzie, którzy od najwcześniejszych lat noszą mundury wojskowe i nie rozstawali się z nimi. Zapomnieli o różnicy poglądów.

Wtem, cesarz ujął syna za ramię i rzekł:

— Ty jesteś żołnierzem i ja również jestem żołnierzem. Możemy zrozumieć się... Spójrz na tych zuchów. Są młodzi, mają przed sobą całe życie... Nie znają mnie. Nie spodziewają się niczego ode mnie. Jestem dla nich jedynie uosobieniem nudnej i zmudnej służby wojskowej... Ale niech, bodaj jutro, zaczną się jakieś komplikacje, niechaj, jak mówisz, nadciągnie burza od północy i spadnie na nas, oni, gdy wezwę ich, zjawią się wszyscy, jak jeden mąż! Staną do apelu i dadzą mi to, co najcenniejsze: krew własną!... Myślałeś o tem, Rudolfie? A ty, mój syn...

Podczas tych słów rozpacz Rudolfa doszła do ostatecznych granic. Cesarz odgrywał z nieporównanem wirtuozostwem arję, poruszającą w Rudolfie najwrażliwsze i najczulsze struny. Używanie takich środków miało w sobie coś nielojalnego. Można było sądzić, że sprowadził w odpowiednim momencie muzykę wojskową, ażeby argumenty swoje poprzeć nutą patetyczną. Tak samo działają na nerwy publiczności głębsze akordy orkiestry w momentach melodramatycznych.

„Nie dam się wziąć...” myślał Rudolf „...ale jak uciec przed nim...” Nie słuchał już wywodów ojca. Powtarzał sobie słowa, które cesarz powiedział przed paru minutami: „Uczynię to, co będę uważał za najlepsze”. Używał tego zwrotu, ilekroć był zdecydowany odmówić prośbie, z którą zgłaszano się do niego. Znano to powiedzenie w rodzinie i żartowano z niego czasem, gdy nadarzały się po temu okoliczności.

Zdanie to miało wyraźne znaczenie: tylko sam cesarz dysponował całym majątkiem i apanażami Habsburgów. Nie da mu grosza, jeżeli opuści granice Austrii.

„Uczynię to, co będę uważał za najlepsze” było szantażem, mającym go skłonić do zerwania z Marją, szantażem absurdalnym, gdyż ich dwie egzystencje stopiły się w jedną! Cesarz, o twardej głowie, zim-

nem sercu, zrozumie to zbyt późno — gdy umrą razem... Lecz, w tej chwili mimo gniewu, który szalał w nim, Rudolf spoglądał na wszystko z wielką trzeźwością... Trzeba będzie użyć podstępów, gdyż ojciec nie pozwoli mu odejść, zanim nie otrzyma od niego przyrzeczenia... Co będzie warte słowo, wyrwane w takich okolicznościach? Na ten temat można było dyskutować. Lecz nie chciał, przynaglony sytuacją, krzywoprzysięgać. Trzeba było znaleźć jakąś radę i przyrzec to tylko, co będzie mógł dotrzymać... Gra słów, i nic więcej.

Kto ponosił winę? Kto był odpowiedzialny? Cesarz, w swoim zaślepieniu. Od tej więc chwili Rudolf jął manewrować, by otrzymać prawo do śmierci — a czynił to z odwagą, zimną krwią i zręcznością, jakiej inny człowiek użyłby dla obrony swojego życia.

Fala myśli przesuwiała się przez jego głowę, podczas gdy cesarz mówił niestrudzenie. Zakończył zdaniem, zapożyczonym z codziennego słowniczka:

— A więc, jesteśmy Rudolffie tego samego zdania.

— Pozostaje tylko jeden punkt do wyjaśnienia — rzekł arcyksiążę, przyjmując świadomie ton cesarza. — Czy nie wolno mi zobaczyć się raz jeszcze z panną Vetserą. Nie mogę jej dać dymisji, jak ty któremuś z swoich ministrów. Byłoby to okrucieństwem, i najzupełniej niewłaściwym okrucieństwem.

Twarz cesarza rozjaśniła się. Zaigrało na niej coś w rodzaju uśmiechu. Był dumny, istotnie, z eleganckiego sposobu, w jaki pozbywał się ministrów, którzy przestali mu się podobać. Taki minister wydawał się być, po przyjacielskiej audjencji, u szczytu łask. Wróciwszy do domu, zastawał list z dymisją, którą — nie było innego wyjścia — musiał podpisać.

— Nie sprzeciwiam się temu, ażebyś zobaczył ją raz jeszcze.

— Sam?

— Jeżeli chcesz... lecz te widzenia są zazwyczaj bardzo przykre. Znacznie rozsądniej jest unikać ich.

Rudolf, słysząc ojca mówiącego w ten sposób, dał się unieść gniewowi.

— To moja rzecz — mruknął.

— Jak uważasz. Możecie się spotkać, ale niech to będzie po raz ostatni. Żądam twojego słowa.

— Daję ci je.

Cesarz wstał. Miał ochotę objąć swojego syna serdecznym uściskiem. Lecz twarz Rudolfa była blada i zboląła, a oczy błyszczały tak dziwnie, że Franciszek Józef ograniczył się na głębokim westchnieniu. Poczem zakończył tonem formalnym:

— Możesz odejść.

VII

MAYERLING

W tę sobotę, dwudziestego szóstego stycznia, roku 1889-ego, księżę Henryk VII de Reuss wydaje w ambasadzie niemieckiej najwspanialszy bal bieżącego sezonu.

Bierze udział w tej zabawie cesarska rodzina, obecni są następca tronu, oraz jego małżonka Stefania, arcyksiężęta i arcyksiężniczki, ciało dyplomatyczne, dwór, wysocy dygnitarze, naczelnicy armji, bez-

konkurencyjne piękności podwójnej monarchji, toalety i mundury, bogate stroje, tiuniki haftowane złotem, rodowe djademy, które wyjmują się z kasetek trzy do czterech razy rocznie, brosze, spinające koronki na starych dekoltach, perły, djamenty, naszyjniki, wisiory, kolczyki, bransolety, pierścienie — ileż błyskawic, zapalających się pod kryształowemi żyrandolami!

Orkiestra Johanna Straussa, jego najpowieksze walce, chwila szafu i odpoczynku, zapomnienie i wytchnienie, luksus i rozkosz, oderwanie się od tej gorzkiej walki — życia, uśmiech pośród tylu grymasów... bal.

Któżby uwierzył, że jest tu, w tym radosnym tłumie, dwoje skazanych na śmierć? Mają przed sobą zaledwie trzy dni życia. A jednak oboje przyszli na bal.

Jedną z tych osób jest najpierwsza, najważniejsza osobistość, która zaszczycała przyjęcie w ambasadzie: jego cesarska i królewska wysokość, następca tronu arcyksiążę Rudolf; drugą — najpiękniejszą, najmilszą i najmłodszą ze wszystkich kobiet — ma tylko siedemnaście lat — baronówna Marja Vetsera, która ukazuje się po raz pierwszy w wielkim świecie, jako dorosła panna.

Marja Vetsera jest ubrana w blado-niebieską suknię. W włosy ma wpięty półksiężyc djamentowy, nosi djamentową broszkę i pierścień na palcu. Jest śliczna, ujmująca, czaruje serca. Dziesięciu mężczyzn, wytwornych, utytułowanych, bogatych pragnie ją poślubić. Lecz ona wolała zaręczyć się w sekrecie ze śmiercią.

Arcyksiążę Rudolf jest dzisiaj doskonale usposobiony. Śmieje się, żartuje i zaleca do kobiet. Zamienia kilka słów z Marją Vetserą. Wiele osób w tej chwili nie spuszcza z nich oczu, wiecie, czemu: tyle szablonowych rzeczy opowiada się o nich — są to wierutne bajki! nie należy wierzyć. — Ile swobody w obejściu arcyksięcia! Ile wdzięku w wyrazie baronówny! O czym rozmawiają? Po okolicznościowych komplementach, które Rudolf potrafi mówić tak sympatycznie, gdy zbliża się do kobiety: „Polujemy w Mayerlingu, w poniedziałek i wtorek”. To, i nic więcej. Nie, stanowczo niema nic między nimi. Rozmawiają przez minutę, a następnie oddalają się od siebie i giną w nurtach balu. Gdzie się odnajdą?

Czyż można zdobyć się na tyle lekceważenia, dezynwoltury w przededniu śmierci? Być może, nie wiedzą, że umrą. Oto najprostsze wytłomaczenie ich niefrasobliwego humoru, radości szczerej i szczęścia, promieniującego z pięknych oczu tej młodej dziewczyny.

Nie, wiedzą, że umrą. Sami wypisali swój los w księdze przeznaczenia. Widzenie Rudolfa z cesarzem, które miało miejsce tego samego poranka, zadecydowało o wszystkim. Pojadą do Mayerlingu, a tam... Marja dowiedziała się o tem przed paru godzinami, z listu Rudolfa, listu pełnego miłości i przywiązania, listu niemal radosnego, na myśl, że będzie mógł uciec od tego świata, skazującego go na tortury. W tej chwili, uświadamia sobie jedną rzecz tylko: będzie z nim razem dzień lub dwa dni, sama z nim, zdala od wszystkiego. To wystarcza, by rozpromienić jej twarz. Tego wieczoru podoba mu się, uważa, że jest piękna, ma ochotę wziąć ją w swoje ramiona. Ten bal jest istotnie najwspanialszą zabawą.

(D. c. n.).